

K. WEBSTER

MÓJ
TORIN

Tytuł oryginału
My Torin
Copyright © 2018 by K. Webster
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2019
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Barbara Marszałek
Patrycja Siedlecka
Korekta:
Monika Foltman
Magdalena Zięba-Stępnik
Redakcja techniczna:
Mateusz Bartel
Przygotowanie okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-033-9

K. WEBSTER

MÓJ
TORIN

Tłumaczenie
Maciej Olbryś

OŚWIĘCIM 2019

DEDYKACJA

Mojemu mężowi

Oddycham, liżę, smakuję, dotykam, czuję, potrzebuję Cię

Twoja żona

*Chcę być wolny.
Chcę być wolny.
Chcę, by inni zobaczyli
i zaakceptowali mnie takiego,
jakim jestem.*

Scott Lentine

Jestem dziwadłem, odmieńcem, nigdzie nie pasuję.
Jestem samotna. Nikt mnie nie kocha.
Jednak prawie mogę posmakować szczęścia,
ponieważ niespodziewanie znajduje się bardzo blisko.

Zjawia się on.

Jest przystojny i bogaty. Stanowi uosobienie męskości.
Ma smutne brązowe oczy oraz niesamowity uśmiech.
I chce, żebym porzuciła swoje dotychczasowe życie.

Skrywa swoje intencje.
Motywy jego postępowania są niejasne.
Ale ja i tak z nim odchodzę, bo tu nie jestem szczęśliwa.

Jego obietnice są zbyt piękne, by mogły być prawdziwe.
Zamek. Fortuna. I konie.

To wszystko jest zbyt proste.
A w moim życiu nic nigdy nie było proste.

W czym tkwi haczyk?
Zawsze jakiś jest.

Drodzy czytelnicy,

Książka, którą trzymacie w dłoniach, jest rezultatem ciężkiej pracy. Bohaterowie tej powieści są owocem intensywnych badań, które wykonałam. Spędziłam dziesiątki godzin, oglądając filmy dokumentalne. Do informacji, jakie z nich zdobyłam, dodałam sos własnej kreatywności. Pisząc tę książkę, uświadomiłam sobie, że każdy z nas jest wyjątkowy. Nie ma dwóch takich samych osób. I właśnie to jest w nas najpiękniejsze. Różnorodność jest niesamowita. Zaakceptujcie tych, którzy nie są tacy jak wy, bo każda osoba ma coś do zaoferowania.

Mam nadzieję, że moja powieść się Wam spodoba.

K. Webster

CZEŚĆ PIERWSZA



PROLOG

Phillip

Kościół Freedom Mountain – 25 grudnia 1999

Pastor Joe wciąż mówi o Bożych planach. Nic nie dzieje się bez powodu. Życie składa się tylko z serii prób postawionych przed nami, zanim staniemy przed obliczem Pana. Pięć lat temu może i bym w to uwierzył, ale teraz tego nie kupuję. To tylko wymówki. Właśnie tak. Wymówki. Sposób, w jaki tłumaczymy złe rzeczy, które nas spotykają. Bóg nie przygląda się nam z nieba i nie sprawdza nas. On tylko pogrywa sobie z naszymi sercami.

Mszę nagle przerywa czyjś krzyk. Wszyscy spoglądają w moją stronę. Należę do Kościoła od wielu lat i jestem diakonem, więc spodziewają się, że zareaguję. A to? To tylko jedna z rzeczy, którymi muszę się zająć. Zwykle po prostu wstałbym z ciężkim westchnieniem i jeszcze cięższym sercem, ale nie dziś.

Chcę się stąd wyrwać.

Chcę stąd uciec.

Chcę pokazać Bogu, że mam gdzieś jego plan. Zrobię sobie własny.

Cicho przepraszam, a następnie przemykam obok kilku kobiet, które każdej niedzieli nieprzypadkowo siadają obok mnie. Tak jakbym był nimi zainteresowany.

Maggie zmarła zaledwie rok temu, a ja pewnie już nigdy nie będę zainteresowany żadną inną kobietą. Zmarła, bo tak chciał Bóg, ale chociaż bardzo intensywnie czytam Biblię, wciąż nie potrafię zrozumieć, dlaczego musiał zabrać właśnie ją.

Słyszę kolejny krzyk. Przyspieszam.

Wychodzę z sanktuarium do przedsionka i zamierzam skrócić w prawo, gdzie znajdują się kościelne biura oraz żłobek, ale nagle słyszę dźwięk dochodzący z lewej strony. Tuż za drzwiami. Zdziwiony otwieram je, po czym wychodzę przed kościół.

Na zewnątrz pada śnieg, dopełniając świąteczną atmosferę, ale dla mnie jest tylko przypomnieniem, że będę musiał jechać ostrożnie. Dziś wiozę cenny ładunek. Płatki śniegu uderzają w moją twarz, a chłodny wiatr smaga moje ciało. Drzę z zimna. Nie zdążyłem zabrać kurtki. Mam na sobie tylko świąteczną, czerwoną kamizelkę oraz białą koszulę. Rozglądam się po parkingu, który jest po brzegi wypełniony autami wiernych. Większość z nich przyjeżdża do kościoła tylko raz w roku, zupełnie tak, jakby narodziny Chrystusa były niesamowitym wydarzeniem, a pozostałe trzysta sześćdziesiąt cztery dni w ogóle się nie liczyły. W następną niedzielę wszystko znowu wróci do normy i na mszę przyjdzie o wiele mniej osób.

Słyszę krzyk, który dochodzi z szopki znajdującej się przed kościołem. Stoję przed drzwiami kościoła, a moje ciało przenika chłód, jakby zimne powietrze zdążyło przesyć mnie na wylot. Nagle zauważam, że w szopce coś się porusza.

To dłoń.

Małeńka i silna.

Macha do mnie.

Idź tam.

Głos w mojej głowie tak bardzo przypomina Maggie, że uginają się pode mną kolana. Moje serce przesywa ból i prawie upadam, ale zbieram się w sobie, a po chwili zaczynam iść w stronę szopki.

To małe dziecko.

W żłobku leży żywe dziecko.

Niesamowite.

Otrząsam się z szoku i podbiegam. Klękam na śniegu, czując, że moje serce zaraz rozpadnie się na kawałki. W żłobku leży trzęsące się z zimna niemowlę. Jest niechlujnie zawinięte w brudny kocyk i macha zimną piastką w moją stronę, tak jakby również pragnęło dowiedzieć się, jaki plan miał Bóg w zostawieniu go przed kościołem w zimowy wieczór. Pod żłobkiem znajduje się papierowe opakowanie pełne drobnych, do którego jest przyczepiona niewielka karteczka.

Podnoszę ją i czytam wiadomość.

Ma na imię Casey.

Jest chora.

To wszystko, co mam.

Proszę, zajmijcie się nią, bo ja nie mogę tego zrobić.

Odnoszę wrażenie, że zaraz zwymiotuję. Jaki potwór zostawił dziecko na dworze w taką pogodę? Szybko wyjmuję je ze żłobka, obejmuję, usiłując rozgrzać, ale ono wciąż się trzęsie. Podnoszę się, po czym biegnę w stronę budynku. Dziecko zaczyna głośno płakać. Zamknąwszy za sobą drzwi, odsuwam kocyk, by lepiej przyjrzeć się niemowlęciu.

Natychmiast przestaje płakać i spogląda na mnie.

Ma bładoniebieskie oczy.

Widać w nich duszę.

I smutek.

Tak wiele życia jest w oczach tego maleństwa.

Przetykam ślinę i zaczynam bić się z myślami, które błagają mnie, bym zabrał je ze sobą. Gdyby Maggie wciąż żyła, od razu starałaby się dowiedzieć, jak możemy adoptować tę dziewczynkę. Na samą myśl o tym przeszywa mnie ogromny ból.

Maggie niczego już się nie dowie.

Odeszła.

To ona zawsze była tą silniejszą połówką. Bez niej czuję się jak cień samego siebie. Nie będę w stanie wychować małej dziewczynki. Ledwie radzę sobie ze sobą.

– Przepraszam, maluchu. – Tuląc ją do siebie, otwieram drzwi do sanktuarium. – Joe, zadzwoń na policję. Znalazłem niemowlę.

Dziewczynka znowu zaczyna płakać.

Mała Casey.

Trafi do kochającego domu, w którym zaopiekuje się nią dwoje wspaniałych rodziców. Dziesiątki dzieci trafiają do nowych domów każdego dnia.

To po prostu nie będzie mój dom.

To nie może być mój dom, bo nie ma w nim już Maggie.

A bez niej ta dziewczynka nigdy nie otrzyma tego, na co zasługuje.

Zasługuje na kogoś lepszego niż chorego wdowca, pogrążonego w żalu oraz depresji. Zasługuje na życie. To samo życie, które widziałem w jej oczach.

Zasługuje na więcej.

Wyślę ją w świat, w którym to wszystko może dać jej ktoś inny.

ROZDZIAŁ 1

Casey

Terazniejszość

Klik. Klik. Klik. Klik. Klik. Klik.

– Casey. – Doktor Cohen mruży oczy i spogląda na mnie z irytacją.

Klikam długopisem ostatni raz, po czym wzruszam ramionami.

– Co takiego?

– Pytałam, jak ci idzie w szkole. – Znowu jest spokojna. Wytrąciłam ją z równowagi tylko na chwilę. To mój życiowy cel. Podczas naszych sesji uwielbiam wyprowadzać doktor Cohen z równowagi.

Mój obecny rekord wynosi pięć razy podczas jednej sesji.

Tamtego dnia doktor zakończyła rozmowę ze mną wcześniej niż zwykle.

– Wszystko w porządku – mówię jej to, co chce usłyszeć. Nie mówię jej, że nienawidzę nauczycieli i innych uczniów. Nie powiem jej, że nienawidzę wszystkiego. A już na pewno nie zamierzam mówić, że wczoraj szukałam w internecie informacji przygotowujących do matury. Za dwa miesiące stuknie mi osiemnastka. Potem się stąd zmywam.

– Zdefiniuj „w porządku” – zachęca mnie i przykłada długopis do kartki, przygotowując się do notowania.

Klik. Klik. Klik.

Zerkam na nią. Mruży oczy.

– To znaczy „naprawdę spoko” – mówię, po czym zaczynam się śmiać.

Pani doktor, zdjąwszy jedną nogę z drugiej, nachyla się do przodu.

– To nie zabawa, moja droga.

Ach, w końcu wypowiedziała te słowa. Zawsze je mówi. Za każdym razem, gdy się spotykamy.

– W szkole wszystko w porządku – rzucam szorstko. – Jest nudna. Tak jak zawsze.

– Nudna? – pyta, unosząc swoje czarne brwi, po czym przegląda papiery, które trzyma na kolanach. – Z twojego ostatniego sprawozdania wynika, że masz dwóję z angielskiego.

Klik. Klik.

– No i co z tego?

– Musisz mieć lepsze stopnie. – Zaciska usta. – Jak chcesz dostać się do college’u z takimi...

Zaczynam nieustannie naciskać długopis.

Klikklikklikklikklikklikklikklikklikklikklikklikklikklikklikklik.

– Nie zamierzam iść do college’u. – Unoszę głowę, ale nie patrzę doktorce w oczy, tylko spoglądam na zegar na ścianie. Nasza sesja dobiega końca.

– Najwyższy czas dorosnąć, Casey – strofuje mnie. *To nie zabawa, moja droga.* Wiem, że chce znowu to powiedzieć. Jej wargi drżą. Z trudem powstrzymuje te słowa.

– Mam już prawie osiemnaście lat. – Uśmiecham się złośliwie.

Gdyby psychiatrzy mogli przewracać oczami w obecności swoich pacjentów, na pewno właśnie by to zrobiła. Jednak w jakiś sposób udaje się jej zachować poważny wyraz twarzy.

– Wiesz, o czym mówię.

Wiem, co chce powiedzieć, ale ona nie ma pojęcia o warunkach, w których musiałam dorastać. Moja matka była uzależniona od cracku i podrzuciła mnie do żłóbka, znajdującego się w szopce obok kościoła, gdy byłam niemowlęciem. To brzmi

strasznie banalnie, ale ta historia nie ma szczęśliwego zakończenia. Ona wciąż trwa i jest moim marnym życiem. Dzieci matek uzależnionych od narkotyków rodzą się z tym samym uzależnieniem. Niewiele ważą, mają małe głowy, a kilka dni po porodzie przechodzą głód narkotykowy. Trzęsą się i płaczą bez końca. Są nieszczęśliwe. Matka wysłała mnie na ten świat w najgorszy z możliwych sposobów. Od urodzenia byłam o wiele mniejsza od innych dzieci w moim wieku. W dodatku byłam w najgorszej sytuacji ze wszystkich czekających na adopcję dzieci.

Nikt nie chciał zaadoptować kogoś takiego jak ja.

Nikt nie chciał dziecka, które ryczało całymi dniami.

Dziecka, którego nikt nie mógł uszczęśliwić.

Przygarniali mnie ludzie, którzy byli tak samo nieszczęśliwi jak ja. Gdy trochę podrosłam, zaczęłam odbijać się z jednego miejsca do drugiego, niczym gumowa piłeczka w automacie do pinballa. Niestety, ale nic nie wygrałam. Nie rozbłysnęły się migoczące światła, ani nie rozległy się dźwięki muzyki. Na końcu zawsze czekała na mnie jedynie pustka.

Gdy tylko skończę osiemnaście lat, nareszcie będę gotowa, by wyruszyć w świat i odnaleźć własne szczęście. Wiem, że ono tam na mnie czeka. Muszę je tylko znaleźć.

– Nie jestem na tyle inteligentna, by iść na studia – przyznaję tonem pełnym melancholii.

Doktor Cohen wzdycha i rozluźnia się.

– Jesteś wystarczająco mądra, moja droga, tylko masz problem ze skupieniem. Jak ten nowy lek, który ci przepisałam? Pomaga ci się skoncentrować?

Według niej bycie dzieckiem matki uzależnionej od narkotyków automatycznie stawia mnie w niekorzystnym położeniu w kwestii neurologii. Zdiagnozowano u mnie ADHD oraz stany lękowe.

Klik. Klik. Klik.

Ponownie zerkam na zegar.

– Nie lubię tego leku. Czuję się po nim otepiała.

– On tak działa. Po jego zażyciu powinnaś łatwiej się skupiać. Ten lek ma ci pomóc uspokoić myśli.

To chyba zły moment, by powiedzieć jej, że zażyłam go tylko raz, a resztę sprzedalam mojemu przybranemu bratu, prawda?

Chyba tak.

– No dobra. – Uśmiecham się do niej szeroko. To fałszywy uśmiech, ale pomaga mi wybrnąć z tarapatów, gdy tego potrzebuję. – Ojejku, jest już późno – mówię, udając nadąsaną. – Wygląda na to, że zobaczymy się dopiero za miesiąc.

Pani doktor kiwa głową, zapisując coś w swoich notatkach. Nie czekam na odpowiedź. Powiedziała już wystarczająco dużo. Tak naprawdę boję się tych spotkań. Wcale mi nie pomagają. Obie kręcimy się w kółko. Ona chce zaoferować mi pomoc, której nie potrzebuję. To wyłącznie strata czasu.

Gdy tylko zamykam za sobą drzwi gabinetu, idę prosto do damskiej toalety. Na zewnątrz czeka mój zastępczy rodzic, Guy. Ma najgorsze imię ze wszystkich możliwych i jest największym dupkiem na całej planecie. Czasami mówię do niego per koleś tylko dlatego, by sobie z nim pograć. Nie mam pojęcia, jak ktoś taki mógł zostać osobą, która ma się opiekować dziećmi i nastolatkami. On ewidentnie tego nienawidzi, a ja nie potrafię tego zrozumieć. Przewinęłam się przez kilka domów, w których mężczyźni lubieżnie patrzyli na swoje podopieczne, ale zwykle gapili się na inne dziewczyny. Ich spojrzenia mnie omijały, bo jestem kurduplem z rozczochranymi włosami. Woleli rozbierać wzrokiem chochliki z jasnymi włosami i wielkimi oczami.

Kiedy już jestem w łazience, kładę plecak na blacie z umywalkami, po czym przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze. Z moich ust stał się błyszczyc, więc odnajduję go w plecaku, a następnie ponownie maluję je lśniącym różem. Przez te wszystkie lata ukradłam wiele szminek z wielu miejsc. To taka moja mała terapia – nakładając makijaż, zmieniam się w kogoś,

kim chcę być. Obawiam się, że jestem bardzo podobna do swojej biologicznej matki. Dlatego im mocniej jestem pomalowana, tym mniej ją mogę przypominać.

Burczy mi w brzuchu, ale staram się to zignorować. Nie powiedziałam doktor Cohen o tym, że pewna dziewczyna o imieniu Monique przyciska mnie do szafki przed każdym WF-em, a potem zabiera mi z plecaka pieniądze. Każdego dnia w szkole jestem głodna. Mam nadzieję, że dziś wieczorem Guy ugotuje coś smacznego. To chyba jedyna rzecz, do której się nadaje.

– Jeszcze tylko dwa miesiące – obiecuję sobie, wzdychając.

Zabieram plecak, wychodzę z toalety, po czym zmierzam w stronę poczekalni. Mój opiekun gapi się na jedną z matek, która usiłuje przemówić do rozumu dziewczynie wyglądającej na parę lat starszą ode mnie. Ludzie, którzy tu przychodzą, mają prawdziwe problemy psychiczne, a ja w jakiś sposób tu utknęłam. Cóż, w końcu jestem córką matki-narkomanki.

Pstrykając palcami, daję mu znak głową.

– Chodźmy już.

Przez sekundę wykrzywia twarz, ale natychmiast odwraca ode mnie wzrok, by ponownie spojrzeć na tyłek gorącej mamusi. Cieszę się, że lubi duże cycki i kształtne kobiety, bo dzięki temu nigdy nie będzie na mnie patrzył w ten sposób. Gdy wychodzę na zewnątrz, zatrzymuję się na chwilę. Jest wczesny listopad, ale dzisiejszy dzień jest wyjątkowo słoneczny, ciepły. Mam ogromną ochotę po prostu usiąść na schodach i wygrzewać się w słońcu.

Zawsze jest mi zimno. Non stop noszę dżinsy i bluzy z kapturem, chowam się pod ciepłą kołdrą albo grzeję przy ognisku. Mój lekarz powiedział mi, że to dlatego, bo – tak, zgadliście – jestem córką matki-narkomanki.

Wielkie dzięki, mamusiu.

Skupiam całą uwagę na lśniąącym cencie, który leży na chodniku. Kiedyś przeczytałam kilka artykułów opisujących to, jak

mnie znaleziono. Media nazwały mnie pieszczotliwie Kokainową Casey, czyli tajemniczym dzieckiem uzależnionym od narkotyków. Znaleziono przy mnie jedynie koc, papierową torbę pełną drobnych oraz krótki liścik. Policja nie była w stanie odnaleźć mojej biologicznej matki, więc nazwały mnie Casey Doe. Oczywiście natychmiast znienawidziłam to pieprzone nazwisko. Teraz, gdy ktoś mnie o nie pyta, przedstawiam się jako Casey White. Jestem dzieckiem, które znaleziono przykryte śniegiem.

Białym.

Czystym.

Jak nowy początek.

Gdy w końcu będę mogła prawnie zmienić nazwisko, wybiorę takie, jakie będę chciała.

Schylam się, by podnieść monetę, ale nagle ktoś zabiera ją, zanim zdążę wyciągnąć dłoń.

– Hej! – krzyczę.

Kiedy podnoszę wzrok, spoglądam prosto w najbardziej intensywne, brązowe oczy, jakie w życiu widziałam. Ich właściciel patrzy na mnie, tak jakby mógł zajrzeć w moją duszę. Jakby widział te wszystkie smutne oraz przykre rzeczy, które w niej skrywam.

Nie mogę mrugać.

Nie mogę myśleć.

Mogę tylko patrzeć mu w oczy.

Nagle Guy chwyta mnie za ramię, przyciągając do siebie.

– Nie zachowuj się jak dziwak – syczy, ciągnąc mnie do swojego gównianego vana. – Mam dość wożenia twojego chudego dupska.

Wyrywam mu się, po czym podchodzę do drzwi pasażera i wsiadam do środka. Gdy wyglądam przez szybę, ten mężczyzna z chodnika wciąż się na mnie patrzy. Wyciągnął dłoń z centem w moją stronę. Moneta błyszczy w blasku słonecznych promieni.

Za późno, stary. Teraz możesz sobie ją wziąć.

Wzruszając ramionami, macham do niego. Guy wyjeżdża z parkingu. Gdy tylko z głośników ponownie rozlega się jego ulubiona muzyka country, zakładam słuchawki i pogłaśniam moją Meg Myers, by odciąć się od reszty świata. Zamykam oczy, starając się nie liczyć czasu, który pozostał do chwili, w której moje życie nareszcie się rozpocznie.



Dwa tygodnie później...

– Casey! – Guy woła mnie z salonu.

Staram się go zignorować. Żuję gumę, wpatrując się w świadectwo, które trzymam w dłoniach.

Mlask. Mlask. Mlask.

Zrobiłam to. Zdałam wszystkie egzaminy. Oczywiście musiałam ukraść pieniądze Guyowi, by móc za nie zapłacić, ale on nie musi o tym wiedzieć. Byłam dumna jak paw, gdy rzuciłam świadectwo na biurko mojego szkolnego psychologa, mówiąc, że znikam z ich przekłętej dziury. Nie jestem już ich więźniem. Dyrektor, psycholog oraz moja kuratorka zdecydowali, że nie muszę już dłużej chodzić do szkoły. Niestety wciąż jestem przykuta do Guya, ale to potrwa tylko do świąt Bożego Narodzenia.

Potem będę wolna.

Mlask. Mlask. Mlask.

– Casey! Chodź tutaj, do cholery!

Prychając, wkładam świadectwo do plecaka, w którym trzymam najpotrzebniejsze rzeczy. Tak na wszelki wypadek, gdybym nagle musiała się stąd zwiijać. Przez te wszystkie lata wiele razy, bez żadnego ostrzeżenia, wrywano mnie z jednego domu i umieszczano w innym. Na początku płakałam za rzeczami, które musiałam zostawić, ale teraz po prostu mogę zabrać je ze sobą. Kładę plecak na

łóżku, chwytam swoją czapkę, po czym wychodzę z pokoju, który dzielię z inną dziewczyną. Kilka dni temu wyraźnie się ochłodziło i teraz jest mi zimno nawet wtedy, gdy założę kilka warstw ubrań. Założywszy czapkę, idę do salonu.

– Ach, tu jest nasza mała miss – mówi Guy dumnym głosem.

Na dźwięk jego tonu prawie dławię się gumą. Od kiedy zaczął zachowywać się jak ojciec? Patrząc na niego podejrzliwie. Dostrzegam, że jedną kieszeń ma wypchaną banknotami, które wystają z niej na zewnątrz.

– Oto ona, Casey Doe. – Ścisła mnie. Ciarki przechodzą mi po plecach. – Wszyscy jesteśmy z niej dumni. Właśnie zdała maturę.

– To imponujące – szepcze inny, głęboki głos.

Odwracam głowę w stronę, z której dochodzi, i pierwsze, co widzę, to buty. Czarne, lśniące, eleganckie, drogie. Spoglądając w górę, zauważam luźne spodnie spięte skórzanym paskiem, a następnie elegancki, czarny krawat oraz opaloną szyję. Mężczyzna ma czarny zarost. Jego pełne usta uśmiechają się szeroko. Patrząc mu w oczy.

Są brązowe.

Zachęcające.

Ciekawe.

Smutne.

Mrugam zaskoczona, ale nie mogę oderwać od nich wzroku. Wydają się znajome, jakbym już kiedyś je widziała. Jednak nie mogę skojarzyć tego kolesia.

– Nazywam się Tyler Kline – przedstawia się łagodnym, ciepłym głosem. – Cieszę się, że mogę cię poznać.

– Cześć – mówię, podejrzliwie przyglądając się dłoni, którą wyciągnął w moją stronę.

Mlask. Mlask. Mlask.

Żuję nerwowo gumę.

– Cześć. – Uśmiecha się jeszcze szerzej.

Mlask. Mlask. Mlask.

Unoszę brew, co skłania go do mówienia dalej.

– Idziesz ze mną do domu – oznajmia cicho, a ja widzę w jego brązowych oczach smutek, który ściska moje serce.

– Dlaczego? – pytam, wyrrywając się z objęć Guya. – Gdzie jest Lola? – Moja kuratorka zawsze jest obecna, gdy zmieniam miejsce zamieszkania.

– Lola na wszystko zezwoliła – odpowiada Guy, ale ja wiem, że kłamie.

Krzyżuję ręce na piersiach i wzdrygam się. Nie wiem, czy to przez zimno, czy niepokój, który czuję. W każdym razie nie mam zamiaru nigdzie iść z tym nieznanym mężczyzną.

– Zimno ci? – pyta Tyler, a ja widzę w jego spojrzeniu prawdziwą troskę. Coś w sposobie, w jaki zareagował, sprawia, że nieco się uspokajam.

– Zawsze jest mi zimno – mamroczę.

– Mój dom jest ciepły. – Jego brązowe oczy wpatrują się we mnie błagalnie.

– Zaufaj mi, dzieciaku. Będzie ci tam znacznie lepiej – nalega Guy.

– Czy on ci zapłacił? – Wbijam w niego wzrok, po czym wskazuję na wypchaną kieszeń. – Co tu się dzieje?

Tyler napina się i podchodzi do mnie. Gdy kładzie mi dłoń na barku, nie wzdrygam się, ani nie uciekam. Jego dłoń jest ciepła. Kojąca.

– Proszę, Casey.

Nie dzieciaku. Nie moja droga. Nie wałkoniu. Nie wyrzutku.

Tylko Casey.

– Nazywam się Casey White, a nie Casey Doe – wyrzucam z siebie. Czuję, jak gorące łyzy napływają mi do oczu.

Tyler podchodzi jeszcze bliżej, nie zdejmując dłoni z mojego barku. Jest ode mnie o wiele wyższy. Poza tym ładnie pachnie.

– To nazwisko podoba mi się bardziej – szepcze. – Proszę, chodź ze mną. Dam ci wszystko, czego pragniesz.

Gapię się na niego i nagle zaczynam się śmiać.

– Chcę nowy samochód – żądam śmiało, uśmiechając się ironicznie.

On jednak tylko szczerzy się do mnie swoimi białymi zębami i nawet przez sekundę nie traci pewności siebie.

– Zaraz pojedziemy jakiś wybrać. Najnowszy model mercedesa podobno jest świetny. Jaki kolor lubisz najbardziej?

– C-co? – jąkam się.

– Wszystko.

– Dobrze. – To słowo wypada z moich ust, zanim zdążę je powstrzymać. Dobrze? Chcesz iść z facetem, który ewidentnie przekupił twojego zastępczego ojca tylko dlatego, że zaoferował ci samochód? Zwariowałaś?

To nie zabawa, moja droga.

Doktor Cohen ma rację. To nie jest zabawa. To moje życie i muszę posunąć się do przodu tak szybko, jak to tylko możliwe. Jeśli będę miała samochód, będę mogła zniknąć w chwili, w której skończę osiemnaście lat i przejechać połowę Stanów, zanim ktokolwiek się zorientuje. Mój nowy start jest tak blisko. Prawie mogę go posmakować.

Odchrząkuję, a następnie podnoszę głowę.

– Dobrze.

Tyler ponownie się uśmiecha, ściskając mój bark.

– Dziękuję, Casey. Nie zawiodę cię.

Nie mam czasu zastanowić się nad jego słowami, bo Guy nagle wpycha mi mój plecak, po czym wpycha nas oboje za drzwi.

Wszyscy w moim życiu mnie zawiedli, nawet moja własna matka.

Dlaczego Tyler Kline sądzi, że jest inny od reszty?